

Byłam dzisiaj w szpitalu na rehabilitacji. Zabieg ,któremu byłam poddawana, trwał około 30 minut. Wyjątkowo nie lubię szpitali. Nagromadzony tam ból, cierpienie, rozpacz i przekleństwa, to trudna do zniesienia mieszanka. W szpitalach ludzie umierają, a zamieszkujące ciała byty, szukają sobie nowego lokum. Od strony duchowej, szpitale to nie za ciekawe miejsca i lepiej trzymać się od nich z daleka, o ile to oczywiście możliwe. Niestety, od lipca 2009 przez półtora roku byłam stałym gościem placówek szpitalnych.

Najpierw reumatologia. Tam lekarka wyczuła guzek w mojej prawej piersi. Zupełnie się tym nie przejęłam. Zrobiono mi USG, a badanie wykazało zmianę w prawej piersi, więc dostałam skierowanie na biopsję oraz na mammografię. Biopsja nic złego nie wykazała, natomiast w mammografii ujawniły się dodatkowo dwie zmiany w drugiej piersi. Dostałam więc skierowanie na kolejną biopsję. Ponieważ zmiany były głęboko, (USG nie wykazywało ich) biopsja ta była wykonywana inną techniką, z użyciem mammografu, tak zwane stereo.

Gdy przyszły wyniki, lekarka powiedziała, „to jest prawdziwy rak”. Chociaż liczyłam się z taką diagnozą, to gdy ją usłyszałam, trudno było mi sobie poradzić ze swoimi myślami i emocjami. Byłam jak ogłupiała. Staralam się dzielnie trzymać, ale nie bardzo mi to wychodziło. Usiadłam na schodach i zaczęłam głośno płakać. W głowie kłębiły się pytania - dlaczego mnie to spotkało? Czy to już koniec? Co z moimi planami? Czy jest dla mnie jakieś jutro?

Wszystko w moim życiu i w życiu mojej rodziny wywróciło się do góry nogami. Uporządkowałam wszystkie sprawy formalno-prawne, spisałam testament. I o ile to możliwe, zaczęłam walczyć o utrzymanie normalności w codziennym życiu.

Rak jest bardzo podstępny. Próbuje zdominować myśli, wysysa siły i chce zajmować kluczowe miejsce w życiu chorego i jego rodziny. Trudno jest zignorować jego obecność. Wiedziałam, że nie wolno mi się na nim koncentrować, ponieważ jeśli na czymś skupiasz uwagę – zaczyna to rosnać i nabierać siły.

Od chwili diagnozy do operacji minęły 2 tygodnie. W tym momencie wpadłam w tryby maszyny i biegałam od lekarza do lekarza, od szpitala do szpitala. Byłam tym przytłoczona. Jedyne czego pilnowałam, to żeby czegoś nie pominąć.

Chirurg wyciął z lewej piersi zmiany, czyli tak zwanego „prawdziwego raka” i węzeł wartowniczy, a z prawej (jak sam określił - „w kompaktce”) guzek od którego wszystko się zaczęło, a biopsja nie wykazała zmian nowotworowych. Po operacji wróciłam do domu i czekałam na wynik badań histopatologicznych. Byłam przekonana, że to koniec moich problemów.

Kiedy otrzymałam wyniki okazało się, że moje przekonania i oczekiwania, a stan faktyczny - to zupełnie dwie różne rzeczy. Lekarz określił wyniki badań jako krańcowo złe. Wtedy pomyślałam, że pewnie tak wygląda horror. W lewej piersi były zaatakowane wszystkie wycięte węzły, a rak w skali złośliwości od 1 do 4, określono na 3. Do tego w prawej piersi - „kompaktowy guzek” okazał się nowotworem rozsianym. Od tego momentu miałam wrażenie, że dla lekarzy stałam się interesującym przypadkiem. Obie piersi zaatakowane nowotworem i każdy inny.

Chirurg stwierdził, że potrzebna jest kolejna operacja. Nie decydował sam, bo zakres operacji ustalany jest w porozumieniu z onkologiem.

Chwile oczekiwania na decyzję co do kolejnej operacji wypełniały mi kłębiące się w głowie pytania - czy obetną mi obie piersi? Czy się na to zgodzić? Czy obetną jedną? Czy się na to zgodzić? A może wcale nie kwalifikuję się do operacji? I odeślą mnie do domu żebym tam umarła? Wiedziałam, że z punktu medycznego moje szanse są znikome.

Stałam przed gabinetem onkologa i miałam świadomość, że od tego co wyjdzie na zdjęciach bardzo wiele zależy. Czułam jak grunt usuwa mi się pod stopami. Tak niewiele ode mnie zależało. Byłam jak kula, która stacza się po równi pochyłej, coraz szybciej i szybciej. Rozpaczliwie próbowałam nad czymś zapanować. Nad tym co się dzieje, nad myślami, nad emocjami, ale nie miałam nad niczym kontroli, a każda kolejna wiadomość jaką otrzymywałam była gorsza od poprzedniej. Stałam na korytarzu przerażona tym co się wokół mnie dzieje. I wołałam do Boga - Boże nie pozwól mnie zepchnąć w czarną otchłań rozpacz! - Walczyłam z emocjami i myślami, aby złapać chociaż trochę równowagi.

Stałam więc na korytarzu przed gabinetem i czekałam na wywołanie zdjęć jak na wyrok. Wtedy zdałam sobie sprawę, że coś zmienia się w atmosferze wokół mnie. Zupełnie, jakby pod toczącą się kulę podłożono rękę i powiedziano „dość! Ani milimetra dalej!”.

Informacje jakie mi przekazano nie były optymistyczne. Poważne miny lekarzy tylko utwierdzały mnie w tym, że naprawdę jest kiepsko.

W grudniu byłam po raz drugi operowana. Z lewej strony zostały wycięte węzły. Lekarz powiedział, że „poszedł po całości”. Z prawej - dodatkowe poszerzające cięcie i wycięty węzeł wartowniczy. Jednym słowem miałam pocięte obie pachy i obie piersi. Od tej pory wszyscy lekarze, którzy mnie oglądają, bardzo się dziwią, że nie usunięto mi piersi i że to były tak zwane operacje oszczędzające. Ja natomiast jestem szczęśliwa, że tak się stało.

Po tej operacji zawieziono mnie na salę pooperacyjną. Spędziłam tam jedną z przełomowych nocy w moim życiu. W zasadzie większość czasu przespałam, ale gdy nad ranem się obudziłam, słyszałam jak na łóżku obok jakaś kobieta ciężko oddycha. Była po lżejszej operacji niż ja. Pielęgniarka pomagała jej, cały czas coś przy niej robiła, ale ta kobieta umarła. Po prostu przestała oddychać. Nie było żadnych fajerwerków, nic się nie wydarzyło. Tylko ustał oddech. To wspomnienie do mnie powraca. Zdałam sobie wtedy sprawę z kruchości życia. Ta kobieta opuściła ciało, odeszła. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że jutra może nie być. Odejdzie oddech z człowieka i już po wszystkim...

Wiedzieć coś hipotetycznie, intelektualnie, to nie to samo, co zdać sobie z tego sprawę. A do mnie dotarło, że czas poważnie potraktować to, co będzie po opuszczeniu fizycznego ciała. Po powrocie do domu zaczęłam poświęcać czas na modlitwę, czytanie Biblii, słuchanie nauczania biblijnego. Każdą wolną chwilę wykorzystywałam na szukanie Boga.

Już w styczniu poszłam na pierwszą chemię. Każdemu choremu, lekarz onkolog ustala indywidualne dawki i indywidualną mieszankę leków. Jest to uzależnione od tego jaki jest nowotwór, na podstawie badań histopatologicznych. Każdy chory może mieć inną chemię. Często powtarza się lek nazywany „chemią czerwoną”, ale to jest tylko jeden składnik w całym zestawie. W moim odczuciu wcale nie najgorszy.

Miałam wyznaczone 6 kursów chemii, co 21 dni. Przyjeżdżałam do szpitala dzień wcześniej celem pobrania krwi. Jeśli wyniki badania krwi nie byłyby dobre, to chemia nie zostałaby podana. W szpitalu dość często dochodziło do takich sytuacji. Czasem pacjentki przyjeżdżały z daleka i nie podawano im chemii. U mnie wyniki badań krwi zawsze były w normie, więc wszystkie chemie miałam o czasie. Już po drugiej chemii straciłam włosy. Chociaż miałam świetnie dobraną perukę, to nie lubiłam jej nosić. Czasem tylko zakładałam „fryzurę”, żeby nie stresować innych.

Na samo wspomnienie tego co przeżyłam podczas chemii, mam ochotę odejść od komputera i zakończyć pisanie. To, co dzieje się kiedy kropla po kropli trucizna wlewa się do żyły - jest trudne do opisania. Czasem miałam wrażenie, że nie wstanę z łóżka, że już tam zostanę. A były i takie momenty, kiedy myślałam, że to niezły pomysł żeby odejść. Kiedy było naprawdę źle, powtarzałam w myślach: Panie Jezusie dusza moja w ręce Twoje, Panie przyjmij ducha mego. Byłam tak blisko odejścia, że Bóg był dla mnie bardziej realny niż otaczający mnie ludzie. Każda kolejna chemia była gorsza od poprzedniej, bo organizm był wyniszczony. Na każdą chemię jeździłam z córką. W najtrudniejszych momentach trzymała mnie za rękę i po cichutku się za mnie modliła.

Z przykrością patrzyłam jak wielu ludzi było na sali samych. Jedna kobieta miała podawaną chemię, a w tym czasie jej syn siedział w samochodzie i denerwował się, że to tak długo trwa. Inna brała chemię na guza mózgu. Miała problem z zapamiętaniem gdzie jest łazienka i nie było z nią nikogo bliskiego, bo rodzina była zajęta bardzo ważnymi sprawami w pracy. Takich sytuacji było sporo. Do wyjątkowych należały takie przypadki, w których z chorym przychodził ktoś bliski. Nie wiem jaka jest statystka, może akurat w tym czasie kiedy ja chodziłam tak się zdarzyło. Generalnie było to smutne i przynębiające.

Ledwie zakończyłam chemię, a zaraz zaczęły się naświetlania. Podają codziennie od poniedziałku do piątku. Na obie piersi i pachy trwały łącznie 15 minut. Na początku nie było żadnego problemu, ale po 2 tygodniach miałam wrażenie, że kurek z siłą w moim ciele został zakręcony, bo cała zgromadzona w nim siła już wypłynęła. Byłam tak osłabiona, że obawiałam się prowadzić samochód, a dojście z przystanku do szpitala było problemem chociaż było to blisko. Przystawałam kilka razy, serce mi łomotało i nie mogłam złapać oddechu. W końcu naświetlania się skończyły. Lekarze zrobili co mogli, ale pozostało pytanie - co mam robić dalej? Jak żyć? Czy jest przede mną życie? A jeśli jest, to jak przeżyć to, co mi pozostało? Z całą pewnością nic teraz nie będzie takie jak wcześniej. Ale co robić? Czy mam się zająć? Znajomi pytają - Co będziesz robiła? A ja nie mam pojęcia!

20 stycznia 2011 roku zauważyłam, że ponownie coś zmieniło się w atmosferze wokół mnie. Na początku nie mogłam się zorientować o co chodzi. Wreszcie zdałam sobie sprawę z tego, że nie ma już we mnie i wokoło mnie raka! Nie ma! Wszystkie ograniczenia wynikające z jego obecności - zniknęły. Poczułam się lekka jak ptak. Zrobiłam badania kontrolne, w opisie mammografii jest napisane, że nie ma zmian „wznowieniowych”. Miałam też robioną scyntyografię kości i tam też potwierdziło się, że raka nie ma. To znaczy, że jestem zdrowa. Teraz jedynie pozostało utrzymać dane mi przez Boga uzdrowienie.

II. Zanim przyjąłm Pana Jezusa do serca, prowadziłam firmę szkolącą z zakresu ezoteryki, zajmowałam się między innymi bioenergoterapią. Mam trochę doświadczenia w zakresie tak

zwanego „uzdrawiania”. Sama wykonywałam zabiegi nazywane potocznie operacjami falowymi i fantomowymi oraz inne. Zdałam egzaminy i posiadam uprawnienia do wykonywania zawodu bioenergoterapeuty. Zostałam również inicjowana na mistrza reiki i tym samym mogę wykonywać zabiegi reiki i pobierać za to pieniądze. Są to uprawnienia do wykonywania zawodu w zgodzie z prawem, uznawane w Polsce i Unii Europejskiej. Ponieważ wiem trochę więcej o „świecie duchowym” niż przeciętny człowiek, decyzję o sposobie leczenia podejmowałam w pełni świadoma z czym mam do czynienia.

Znajomi przysyłali mi linki do różnych stron w internecie. Były tam opisywane lub sfilmowane różne cudowne metody leczące raka. Siedziałam przed komputerem godzinami i oglądałam jak rak znika po zastosowaniu soków, witamin, olejów, mieszanek witaminowych, ziołowych czy innych suplementów. Siedziałam, oglądałam, analizowałam i szukałam ratunku dla siebie. Zastanawiałam się, która z tych metod może być wystarczająco skuteczna? Doszłam do przekonania, że żadna.

Przypominałam sobie różne historie jakie miały miejsce w przeszłości. Przypadki z jakimi zetknęłam się pracując jako bioenergoterapeuta. Analizowałam je i doszłam do wniosku, że choroby nowotworowe są konsekwencją grzechu, przekleństw i klątw, które na nas zostały ściągnięte oraz konsekwencją dotychczasowego życia. Zdawałam sobie sprawę z tego, że rak jest przeciwnikiem, którego nie pokona żaden lek, żadna dieta ani suplement.

Równolegle czytałam biblię i analizowałam opisane tam przypadki uzdrowień. Czytałam Nowy Testament pod kątem uzdrawiania. Ewangelie i Dzieje Apostolskie są naszpikowane historiami o uzdrowieniach i uwolnieniach. Te dwa elementy często się ze sobą łączą – uzdrowienie i uwolnienie. Ale jedynymi gadżetami, których używał Pan Jezus było słowo, ręce i czasem ślina. W przypadku apostoła Piotra, wystarczyło żeby jego cień padł na chorego, a ten odzyskiwał zdrowie. Więc skoro tak było, to znaczy, że do uzdrowienia było potrzebne coś, co nazywa się moc Boża i było to całkowicie wystarczające. Myślałam sobie, że gdyby były potrzebne jakieś zioła czy inne specyfiki, to za Panem Jezusem, a potem za Apostołami jechałyby wozy nimi załadowane. A tu nic, tylko Boża moc.

Moc Boża pochodzi od Boga, więc to do Niego trzeba po nią iść. Zastanawiałam się co zrobić, żeby ta Boża moc mnie uzdrowiła?

Czytałam Nowy Testament i doczytałam się. Potrzebna była do tego wiara. Moc Boża działa poprzez wiarę.

Zwróciłam też uwagę na bardzo ważną sprawę. Pan Bóg ustanowił porządek, który powinien być przez człowieka przestrzegany. Ustanowił hierarchię we wszystkich sferach życia. Kazał być posłusznym królom i ich namiestnikom. W Polsce nie ma króla, ale jest prezydent, premier, ministrowie. Jest ministerstwo zdrowia, nie ma natomiast ministerstwa medycyny alternatywnej. Postanowiłam więc, że poddam się wszystkiemu co zaproponują lekarze. Ale tylko ci lekarze, którzy pracują w oficjalnych zakładach leczniczych - takich jak przychodnie i szpitale. Natomiast wszystkich tych, co uprawiają radosną twórczość - postanowiłam omijać szerokim łukiem. Pomyślałam też, że jeśli będę posłuszna Bożej woli, to będę miała prawo do reklamacji, a jak coś zaczęło robić na własny rachunek - to do kogo się zwrócę z pretensją jak nie wyjdzie? Nie chciałam pozbawiać się prawa do reklamacji. Uczepiłam się Słowa Bożego i zawartych tam obietnic. Postanowiłam być posłuszna, nawet gdyby mi się to nie podobało.

III. Ponieważ byłam zaangażowana w okultyzm, diabeł uważał mnie za swoją własność, a on bardzo nie lubi jak mu się coś odbiera. Dlatego w stosunku do mnie stosował to, co potrafi najlepiej, czyli zastraszenie. W szpitalu do którego jeździłam do onkologa, do gabinetu wchodzi się bezpośrednio z korytarza. Z tego korytarza jest też wejście na oddział onkologii kobiecej. Niemal zawsze jak tam byłam, widziałam wózek który jechał po zmarłego. Najpierw jechał na oddział, a po kilku minutach wracał. Pół roku po zakończeniu leczenia robi się kontrolne badania, aby stwierdzić, czy nie ma nawrotu choroby. W związku z tym pojechałam do szpitala odebrać zdjęcia. Moja wizyta w szpitalu trwała 20 minut i akurat tego dnia, w tym czasie, wózek przejechał mi przed nosem i jeszcze zdążył wrócić. Po odbiór zdjęć przyszła też jakaś kobieta. Przysiadła się chwilę po tym, jak wózek odjechał. Zapytałam, czy ona też widuje ten wózek, a ona powiedziała, że leczy się tam kilkanaście lat i ani razu nie była świadkiem wywożenia zwłok.

Gdy byłam na oddziale, przeszłam się po korytarzu. Drzwi do jednej z sal były otwarte i widać było dość surrealistyczną scenę. Leżąca kobieta, która walczy o każdy oddech, a pod ścianą usadzone cztery osoby - zapewne rodzina, czekająca, aż wreszcie nastąpi koniec. Bardzo mną poruszyła taka niemoc, bezradność, zagubienie i przerażenie tych ludzi. Za chwilę podeszła pielęgniarka i zamknęła drzwi, ale diabeł zadbał o to, żebym to zobaczyła. Nie było to miłe, zwłaszcza, że za kilka minut podłączali mi kolejną chemię. Im bardziej mnie straszyl, tym bardziej byłam zdeterminowana żeby się mu nie dać. Takich i innych prób zastraszania było sporo. Staralam się nie dawać, ale ze skały nie jestem i nie raz zdarzało mi się popłakiwać.

IV. Chorowanie już samo w sobie jest trudne. Ujawniają się rzeczy, o których starałam się nie myśleć. Uzewnętrznia się prawda o relacjach. Bardzo mi pomagało czytanie Nowego Testamentu, znajdowałam w Nim prawdziwą pociechę. Myślałam sobie - „i tak będę musiała umrzeć”. Teraz, za kilka lub kilkanaście lat. Jedynie Pismo Święte dodawało mi otuchy i siły, aby zmierzyć się z taką rzeczywistością. Pan Jezus jest Bogiem i to Bogiem żywym. On umarł, ale i zmartwychwstał. On troszczy się o swoje dzieci. To było zaskakujące jak troszczył i nadal troszczy się o mnie. Wszystkie drzwi otwierał, stawiał ludzi, których na daną chwilę potrzebowałam. Może podam przykład. W środę lekarka wymacała zgrubienie w prawej piersi, w piątek miałam USG. Zeszłam piętro niżej i zapisałam się do onkologa na wtorek. Onkolog kazała zrobić mammografię (miałam zrobić na zewnątrz bo w tym czasie w szpitalu wymieniali aparat). Miałam też poddać się badaniu ginekologicznemu. W środę pani ginekolog mnie przyjęła poza kolejką. Tego samego dnia miałam mammografię, a w czwartek zrobiono mi pierwszą biopsję. W ciągu 8 dni od wycucia pod palcami guzka miałam zrobione wszystkie badania. Gdy pojechałam zrobić mammografię, usiadła ze mną pielęgniarka i mnie pocieszała, niemal trzymała mnie za rękę do czasu jak nie weszłam na badanie. Tak było przez cały czas. Gdy ważyły się losy tego, co będzie z piersiami przed drugą operacją, pani robiąca zdjęcia wyszła z pokoju zapytać co lekarze postanowili? Jak dowiedziała się, że piersi zostają, to rzuciła mi się na szyję i popłakała się z radości. Pragnę zaznaczyć, że korzystałam tylko z usług służby zdrowia w ramach ubezpieczenia. Nie wydałam ani złotówki na prywatne leczenie. Mam jak najlepsze zdanie o ludziach pracujących w służbie zdrowia.

Tak wyszło, że lekarze w szpitalu w którym się leczyłam, z końcem roku odchodzili z pracy. Lekarz onkolog, która mnie prowadziła również. Zastanawiałam się - kto mnie będzie leczył? Gdy

przyjechałam na ściągnięcie chłonki, chirurg poinformował mnie, że był u lekarki, która jest ordynatorem oddziału onkologii i poprosił, żeby się mną zajęła i mam się stawić u niej w konkretnym dniu, o wyznaczonej godzinie. Lekarka przyjęła mnie, ale gdy zobaczyła wyniki badań histopatologicznych, wyczułam, że się napięła. Zauważyłam, że jest to taka bariera obronna stosowana podświadomie. Nie nawiązywać bliższej relacji z kimś, kogo rokowania są marne. Lekarze, to też ludzie i jak odejdzie ktoś kogo polubili, to przeżywają, więc lepiej dla higieny psychicznej zachować dystans. Przed pierwszą chemią poprosiłam lekarkę, żeby mnie pocieszyła, bo panicznie się bałam. Lekarka wzięła moje papiery do ręki dokładnie przejrzała i powiedziała, że nie wiadomo kto po której stronie życia stoi. Pomyślałam, że marne to pocieszenie, ale przynajmniej była uczciwa.

V. W lipcu minął rok od zakończenia mojego leczenia. Chemia spustoszyła mój organizm i skutki tego zapewne będą odczuwalne jeszcze przez jakiś czas. Niemniej jednak, z każdym miesiącem widzę jak powracają mi siły i chęć do życia. Wartością, którą zyskałam jest to, że już nie boję się śmierci, bo wiem co ze mną będzie jak przekroczę tę granicę.

Kiedyś usłyszałam stwierdzenie, że choroba jest łaską. Zupełnie tego nie rozumiałam, bo jak ból i cierpienie może być łaską? Teraz wiem, że zdanie to było prawdziwe. Gdybym zmarła nagle w jakimś wypadku, nie mogłabym już niczego zrobić dla swego życia wiecznego. A w moim przypadku czas choroby stał się czasem intensywnego poszukiwania Boga i nawiązywania z Nim prawdziwej relacji.

To Bóg trzyma dni mojego życia w swoich rękach i nie raka należy się bać, ale Boga. Bojaźń Boża jest początkiem mądrości. Wszystkim którzy potrzebują wsparcia, właśnie mądrości życzę w podejmowaniu tej decyzji - czy wystarczą tylko lekarze? A może dać sobie szansę i dodatkowo sięgnąć po Boże Słowo?

Izabelin 2011-09-18

Iwona Wawulska

[iwaw2011@gazeta.pl](mailto:iwaw2011@gazeta.pl)

Pragnę zaznaczyć, że człowiek nie ma prawa do reklamacji. Natomiast w stanie emocjonalnym w jakim się wtedy znajdowałam, myślałam w taki sposób jaki wyżej napisałam.